

Żył
GRZYWACZ

MEMŁARY

I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE



M E M Ł A R Y

I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE



M E M Ł A R Y

I INNE TEKSTY PRZY ŻYCIU I SZTUCE

WYBRAŁ, UŁOŻYŁ I OPRACOWAŁ
TADEUSZ NYCZEK

KRAKÓW

Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

© Copyright by Joanna Boniecka, Tadeusz Nyczek and Towarzystwo
Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2009

Dzieła Zbyluta Grzywacza © copyright: Joanna Boniecka

ISBN 97883-242-1104-3

TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Katarzyna Kościuszko-Dobosz

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce:
Zbylut Grzywacz, Przyjdź precz, Czerwony, 1999

www.universitas.com.pl

TAiWPN Universitas składa podziękowania
pani Joannie Bonieckiej za cenny wkład pracy
w przygotowanie publikacji.

MODLITWA

*Ojcze mój, którego nie ma przy mnie, któregoś jest w niebie dla innych
Niech się święcą imiona Twoje.
Który sprawiasz, że zęby ciała skręcanego głodem wbijają się w chmurę
Gdzie pokarmu nie ma
Gdzie jest czad dla duszy.
Święć się obraz Twój rozmazany łzami.
Niech królestwo Twoje zstąpiwszy na ziemię obryzga się błotem
Jak my się bryzgamy.
Bądź wola Twoja. Moja wola zgniła wpuściwszy korzenie
w napuchłą słoną wodą i czerwoną ziemię.
Jako w niebie tak i na ziemi, jako w ziemi tak i pod wodą
ciemno. Duszno.
Głodu mojego powszedniego daj mi i dzisiaj. Nie oszukuj.
Nie odpuszczaj mi win moich jak nie odpuszczam nikomu.
Zapominam z czasem gdy znikną przykryte nowymi, a sam wobec innych
pełen jestem winy.
Nie wódz mnie na pokuszenie. Pocieszenie.
Nie zbawiaj mnie ode złego. Prawdziwego.
Zbaw mnie od dobra, radości, szczęścia, w które gdy uwierzę
wracam w głód następnych dni szczękając zębami.
Zostaw mnie samego. Padającego. Pogodzonego.
Sam z sobą
Oblaskawiony między kamieniami, kamienowany pomiędzy ptakami
nie ucieknę.
Aniele śmierci stróżu mój
możesz odejść.
Rano, wieczór, w bieli, w czerni mnie nie potrzeba pomocy.
Nie ucieknę.
Aż wszystko, co pocieszeniem zamienię w przekleństwo. W zwątpienie.
Nie ucieknę.
Niech się staje.*

wieczorem w czwartek, 7 listopada 1968

Tadeusz Nyczek

Malując, pisząc

Czytelniku, który sięgnąłeś po tę książkę, przygotuj się na wędrówkę po jednym z najbardziej zadziwiających światów autorskich, z jakimi zapewne miałeś do czynienia. Przewodnikiem będzie malarz, co bez trudu dostrzeżesz po kilku zdaniach któregośkolwiek z tekstów. Otóż ten malarz – skądinąd jeden z najwybitniejszych, jakich mieliśmy w ostatnim kilkudziesięcioleciu – równie dobrze mógł zostać pisarzem, co podobnie łatwo dostrzeżesz po pierwszych kilkunastu stronach tej książki.

Że Zbylut Grzywacz z zamiłowaniem pisuje, owszem, wiedzieli choćby czytelnicy krakowskiego jeszcze „Przekroju”, okazjonalnie „Dziennika Polskiego”, „NaGłosu”, „Gazety Wyborczej”, „Dekady Literackiej”. Wiedzieli też geolodzy czytujący „Kamienie”, pismo Zbyluta dla kolekcjonerów minerałów i skamieniałości. Koledzy artyści słuchający referatów Grzywacza na zjazdach ZPAP. Także lekarze czytujący kwartalnik „Ból”, periodyk dla fachowców. Ale jako że regularniej współpracował z pismami raczej niszowymi, środowiskowymi, łatwo było Zbylutowe pisanie prześlepić.

Niektóre z tych tekstów dadzą asumpt do innego domniemania: że ów malarz-pisarz mógł zostać na przykład geologiem, profesjonalnym badaczem odległej przeszłości naszego globu. Wszak niemal całe życie, poczynwszy od lat szkolnych, był zafascynowany kamieniami i minerałami. Z biegiem lat został nie tylko ich zamiłowanym kolekcjonerem, ale i nieprzeciętnym znawcą. Jego znakomita kolekcja jest dziś ozdobą kra-

kowskiego Muzeum Przyrodniczego, a wydawane przezeń w latach 80. i 90. biuletyny i pisma pod egidą Sekcji Miłośników Mineralów i Skamieniałości Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi to świadectwo fachowej ręki publicysty i równie fachowej znajomości tematu.

Już choćby to, że pisywał o kwarcach, kalcytach i skałotoczach, niewątpliwie wyróżnia Grzywacza spośród kolegów po fachu porzucających od czasu do czasu pędzel i chwytających za pióro. O czymże bowiem pisze artysta, jeśli nie o tym, na czym się zna najlepiej – o sztuce... Przypomnijmy choćby eseistykę Tymona Niesiołowskiego, Jacka Sempolińskiego, Jerzego Wolffa, Stanisława Rodzińskiego, Tadeusza Boruty czy Janusza Marciniaka. Tadeusz Makowski, Jan Cybis, Marek Żuławski zostawili znane dzienniki i wspomnienia autobiograficzne. Mimo wszystko trudno zakwalifikować te książki i teksty do Samostnej Twórczości, stanowiącej jakąkolwiek konkurencję dla malarstwa wyżej wymienionych. Także i pod tym względem, jak wyżej powiedzieliśmy, Zbylut G. stanowi znamienity wyjątek.

Powie ktoś: a co z Czapskim? Ze Stajudą? Henrykiem Wańkiem? Ewą Kuryluk? Hanną Bakułą? Wszyscy oni – może najmniej Stajuda – to także pisarze! Owszem, jak najbardziej. Stajuda był etatowym krytykiem dwutygodnika „Współczesność” w latach 60. i autorem niedokończonych niestety, znakomitej monografii Artura Nachta-Samborskiego, dalece przekraczającej konwencjonalne normy pisania przez artystę o artyście. Czapskiego „Okno”, „Wspomnienia starobielskie” czy „Na nieludzkiej ziemi” to wszak najczystsza literatura, choć niepowieściowa. Kuryluk, Waniek czy Bakuła funkcjonują w powszechnej świadomości jako malarze i pisarze jednocześnie i równolegle. Kto wie nawet, czy ich pisarstwo nie zdominowało w ostatnim kilkunastoleciu twórczości artystycznej. Można by jako ciekawostkę wspomnieć o wierszach Kazimierza Mikulskiego, choć, co tu kryć, to najwyżej miły przyczynek do biografii.

Niżej podpisany, owszem, zna jeszcze jeden przypadek malarza będącego autorem kilku powieści. To Leszek Sobocki, członek byłej Grupy „Wprost” (1966–1986), do której należał także Zbylut Grzywacz. Sęk w tym, że Sobocki żadnego ze swoich maszynopisów nie zdołał, pomimo przedsięwziętych prób, nigdzie opublikować. Powieści te stylistycznie i edytorsko zbyt były niekonwencjonalne, by jakikolwiek socjalistyczny wydawca (utwory powstały w latach 70. i 80.) zechciał je wydrukować.

Skoro jesteśmy przy Grupie „Wprost”: zadziwiającym zbiegiem okoliczności wszyscy jej członkowie – obok Grzywacza i Sobockiego także Maciej Bieniasz i Jacek Waltoś – byli utalentowani pisarsko. Co prawda Bieniasz nigdy, z tego co wiadomo, nie opublikował żadnego większego, samodzielnego tekstu, ale jego listy, od dziesięcioleci pisywane do przyjaciół, to arcydziełka epistolografii (podobnie jak niezliczone, wspaniałe listy Zdzisława Beksińskiego). Waltoś zaś ukrywał swój pisarski talent publikując pod pseudonimem Jacek Buszyński wnikliwe teksty o sztuce (szkoda, że od lat zaprzestał tej działalności).

Jednak z całej Wprostowej czwórki właściwie jedyny Zbylut Grzywacz miałby prawo nazwać się pisarzem z prawdziwego zdarzenia. Przez kilka dziesięcioleci – począwszy od lat 60. do samej śmierci – prowadził w kalendarzach regularne, nierzadko ilustrowane zapiski, z którymi pod względem jakości, objętości i zakresu problemowo-tematycznego może w naszych czasach konkurować bodaj tylko legendarny dziennik Józefa Czapskiego. Obszerne fragmenty Zbylutowego dziennika znajdziesz, Czytelniku, w niniejszej książce w postaci trzech obszernych bloków tekstowych zatytułowanych „Memlary”, „Galimatias” oraz „Było nie było”.

„Memlary”, jak sama nazwa (pożyczona do tytułu całej książki) wskazuje, to rodzaj wspomnień, aczkolwiek dosyć nietypowych. Albowiem nie dość, że zapisanych w formie klasycznych notatek dziennikowych, to w dodatku żartobliwie dystansujących się od jakiegokolwiek „poważnej” prozy wspomnieniowej; memlary mają však w sobie tyleż z dostojnych memuarów, co z memłania, bezładnej paplaniny. Ten autoironiczny zabieg słowotwórczy potraktujmy jednak jako rodzaj samobronnego dystansu autora do zawartych w „Memłarach” treści – nadszczaj poważnych, czasem aż boleśnie dramatycznych. Ogniskują się wokół pewnego bardzo ważnego epizodu z życia artysty – procesu malowania ogromnego obrazu, który uchodzi za *opus magnum* Grzywacza: „Kolejka (siedem etapów życia kobiety)”.

Obraz ów, dziś znajdujący się w zbiorach wrocławskiego Muzeum Narodowego, był efektem nie tylko długotrwałych przemyśleń związanych z jego tematyką i problematyką, ale i wielopłaszczyznowym terenem doświadczeń czysto malarskich. Powstawał ponadto w czasach szczególnie dla Grzywacza traumatycznych. Rozpadało mu się życie osobiste, zaś stan wojenny, który zaczął się dlań niedługim co prawda, ale dotkliwym psychicznie internowaniem, pogłębił tylko wewnętrz-

na destabilizację artysty. Na to wszystko nałożyły się konsekwencje kolejnego przewartościowania autorskiej koncepcji sztuki, skutkujące kilkuletnim zmaganiem się z powstającym dziełem. Krok po kroku, niemal dzień po dniu towarzyszymy tej swoistej „drodze przez mękę”. Nieliczne momenty satysfakcji okupowane były licznymi chwilami zwątpień nie tyle w sens samej roboty, co w możliwości sprostania postawionemu sobie celowi.

Jeśli „Memlary” są pewnego rodzaju grą z memuarystyką, właściwą prozą wspomnieniową pozostaje „Było nie było”. To rodzaj autobiografii w kilkudziesięciu tematycznych obrazkach, barwny i brawurowo napisany „portret artysty z czasów młodości”, obejmujący pierwszy okres życia, od urodzin po dojrzałość. To także wspaniały portret Krakowa, rodzinnego miasta Grzywacza, w szczególności krakowskiego Kazimierza (z krakauerska: Kaźmirza) lat 40. i 50. ubiegłego wieku, na którego starej skórze tużpowojenny socjalizm zaczął ryc swoje pierwsze głębokie znaki. Grzywacz, urodzony w 1939, więc zrazu kilku-, potem kilkunastoletni, chłonał ten krakowski staro-nowy świat z całą intensywnością i wrażliwością przyszłego malarza realisty, oddając nie tylko smaki i smaczki konkretnych rzeczy, spraw i wydarzeń, ale czyniąc to językiem rdzennego krakusa, co tylko dodało swoistej urody frazom tych wspomnień.

Kraków, głównie ten „kaźmirzowski”, będzie się przewijał przez wiele innych tekstów, przede wszystkim przez szkice poświęcone przyjaciółom artystom: Adamowi Hoffmannowi i jego żonie Ewie Kierskiej, Janowi Szancenbachowi i Jerzemu Pankowi, także Bolesławowi Greczyńskiemu, najmniej z nich znanemu, aktorowi, filmowcowi i malarzowi zmarłemu w 1995 roku w Nowym Jorku. Architektura Krakowa będzie też bohaterem niejednego płótna Grzywacza, gdzie bodaj najlepiej zostanie odmalowany dramatyczny konflikt „starego” z „nowym”.

Te szkice są obok „Memlarów” i „Było nie było” najintymniejszą, najbardziej osobistą częścią Grzywaczowego pisanía. Giętkie, swobodne zdania, często zamierzenie kolokwialne, podążają za myślą w sposób absolutnie naturalny, gawędziarski, nie unikający emocji. I jaka zachwycająca plastyczność opisu! „Wszystko, co robił Bolek, było gwałtowne, namiętne, głośnie. Taki był na scenie, takie były jego obrazy, jego przyjaźnie i spory z ludźmi. Włosy do ramion, płaszcz do kostek, szalik do ziemi. Wpadał do pracowni w Akademii z głośnym powitaniem i zabierał się do malowania” – to początek szkicu o Greczyńskim.

Ze zdania na zdanie bohaterowie tych tekstów ożywają przed nami w całej swojej fizycznej i mentalnej wyrazistości, gotowiśmy niemal wyjść im na spotkanie... Gdyby nie drobiazg – prawie wszyscy nie żyją. To tylko portrety trumienne...

Jeszcze inaczej pisze Grzywacz o mistrzach-kłasykach: Tycjanie, Rodinie, van Goghu, Wróblewskim, jeszcze kilku innych niemniejszej rangi. Ale bo też inny, najzupełniej niezwykajny, był cel tych świetnych szkiców. Pisał je człowiek, artysta, szczególnie uczulony na ludzkie cierpienie, ból, wszelką przemoc dewastującą i ciało, i duszę, z tego właśnie punktu widzenia opowiadając o wyżej wspomnianych twórcach i ich najbardziej charakterystycznych dziełach. Nie przypadkiem publikował je w latach 2000–2004 we wspomnianym krakowskim „Bólu”, kwartalniku Polskiego Towarzystwa Badania Bólu. Z „Bólu” też pochodzi kilka niewielkich esejów pomieszczonych w osobnym dziale tej książki zatytułowanym „Sztuka i natura”. Grzywacz, wierny badacz i piewca natury, widział ją jako opozycję, ale i dopełnienie wiecznotrwałego piękna zamkniętego w ziemi i jej formach nieorganicznych (stąd fascynacje geologiczne) – oraz poddanej nieustannemu przemijaniu i cierpieniu materii organicznej z ludzkim ciałem na czele. Również nie przypadkiem prowadził warsztaty i plenery malarskie dla pacjentów krakowskiego szpitala psychiatrycznego w ramach terapii przez sztukę, a w twórczości wielkich mistrzów śledził motywy szaleństwa często warunkującego genialność autora i dzieła.

Ta właśnie część Grzywaczowego pisania wydaje się najbardziej twórcza i na swój sposób odkrywczą. Nikt wcześniej tak nie pisał o relacjach sztuka – natura – cierpienie, w dodatku ujmując te nieproste przecież kwestie w formę szkiców popularyzatorskich, które mogły okazać się pomocne nie tylko dla głównych adresatów „Bólu”, specjalistów od nauk medycznych, ale praktycznie dla każdego, kto być może po raz pierwszy stawał przed „Tratwą Meduzy” Teodora Géricaulta bądź „Ukrzyżowaniem” Matthiasa Grünewalda.

Bywał wreszcie Grzywacz kimś w rodzaju ludowego trybuna, zwłaszcza jako aktywista Związku Polskich Artystów Plastyków przede wszystkim w latach 70. i 80. Ów trybun wychodził na mównice lokalnych sympozjów i ogólnopolskich Zjazdów, wygłaszając płomienne przemówienia-referaty, zazwyczaj przyjmowane z aplauzem przez tę część środowiska plastycznego, która relacje artyści – państwo postrzegała jako upokarzający wasalizm.

Gdyby to były konwencjonalne wypowiedzi publiczne, jakimi szczerze raczył nas poprzedni ustrój lubujący się w oświadczeniach, deklaracjach i sprawozdaniach, zapewne nie byłoby powodu zamieszczać ich w niniejszej książce. Ale wystarczy przeczytać jeden akapit z dowolnego przemówienia – wcześniej przygotowanego lub *ad hoc* improwizowanego – Zbyluta Grzywacza, by przekonać się, jakim odświeżającym językiem i jak przenikliwą argumentacją posługiwał się ów buntownik przeciw konwencji, rutynie, kłamstwu i nowomowie tamtych załganych czasów. Nawet dziś, gdy wydaje się, że wiele powodów, dla których te przemówienia powstały, przeminęło wraz z socjalizmem, istota ich nie straciła nic na znaczeniu. Bo tu bardziej szło o godność artysty w każdych czasach i wobec każdej władzy, niż o partykularne interesy ówczesnej grupy trzymającej pędzle, traktowanej przez urzędników PRL-u jak zbiorowisko dorosłych przedszkolaków utrudniających życie swoim wychowawcom.

Te lata to był najgorętszy okres w życiu Grzywacza-społecznika, malarza, jak to się niezręcznie powiada, zaangażowanego. Dziś powiedzielibyśmy – opozycjonisty, choć wtedy w tym środowisku określenia takie jeszcze nie bywały w modzie. W latach późniejszych, 80. i 90., już tak, być opozycjonistą znaczyło być porządnym człowiekiem i obywatel, prawdomównym i prawym. Myślało się wówczas w tych kategoriach przede wszystkim o pisarzach, dziennikarzach, naukowcach. Malarz, aktor czy muzyk opozycjonista – to wydawało się jakby na wyrost... A przecież bywali i tacy pośród coraz głośniejszej i coraz jawniejszej grupy oponentów władzy. Przykładowo – to właśnie aktorzy na chwilę przejęli ster rządów dusz, ogłaszając słynny bojkot publicznych mediów po 13 grudnia 1981. Grzywacz należał do tych, którzy ponieśli osobiste konsekwencje za swoją niezależną postawę – został internowany, skądinąd jako jeden z nielicznych artystów. Czytając jego wystąpienia zjazdowe z tamtych dawnych lat, bez trudu zrozumiemy decyzję autorów stanu wojennego o potraktowaniu malarza jako „wroga ustroju” zasługującego na karę społecznej izolacji.

Na tym bynajmniej się nie kończy pisarska aktywność i autorska wielostronność Zbyluta Grzywacza. Jako wykładowca akademicki, niemal całe swoje dorosłe życie związany z krakowską ASP, był także autorem licznych wykładów tematycznych, recenzji wystaw i dyplomów, szkiców z teorii pedagogiki artystycznej. Tę część jego pisanej twórczo-

ści pominęliśmy w niniejszej książce, w przekonaniu, że zasługuje na odrębną publikację.

Trzeba by wreszcie powiedzieć o najmniej zapewne znanym epizodzie z jakże bogatej twórczości Zbyluta G. – poetyckim. Bohater nasz bywał bowiem i wierszopisem... Powiedzmy szczerze: bardziej niedzielnym, więc takim, co to w młodości uciekał się do poezji jako formy sprzyjającej szczególnie osobistym wyznaniom, którą potem, gdy spełniła już swoją rolę, bez większego żalu porzuca się dla innych, skuteczniejszych i lepiej przystających do charakteru twórcy konwencji. Najciekawszy wydaje się wiersz zatytułowany „Modlitwa”, o tyle ciekawy i ważny, że zawiera swoiste *credo* życiowe i artystyczne malarza, będąc przy tym – znów zgodnie z „opozycyjną” naturą Grzywacza – właściwie antymodlitwą. Pozwoliliśmy sobie tym wierszem otworzyć „Memlary”, traktując go jako motto całej książki.

Na koniec autor niniejszego wyboru i wstępu chciałby uczynić bardzo osobiste wyznanie. Przyjaźnił się z autorem tekstów tej książki. Podzielał jeśli nie wszystkie, to co najmniej zdecydowaną większość światopoglądu swojego przyjaciela. Nie jest więc, niestety, jak na edytora wyboru pism, odpowiednio obiektywny. Jest jednak przekonany, że w całym polskim piśmiennictwie wokółartystycznym nie istnieje książka podobna do Grzywaczowych „Memlarów”. Nie tylko z powodu parokrotnie już podkreślanego bogactwa form, gatunków i zainteresowań autora. Także niezwyklej perspektywy poznawczej, w której mieści się światowa historia sztuki i pejzaż dzieciństwa, refleksje o pochodzeniu minerałów i szczegółowy zapis procesu twórczego. Nawet nie tylko z powodu jakości literackiej tych tekstów, mogących śmiało konkurować z dokonaniem najwyższej klasy profesjonalistów w pisarskim fachu. Idzie jeszcze o coś: o wewnętrzną siłę szczerości i prawdy tych stron. Bo to przy okazji pasjonująca i miejscami dojmująco bolesna opowieść-sповідź o byciu artystą i zwykłym człowiekiem w parszywych i zawiłych czasach. Z wszystkimi jego, człowieka artysty, wzlotami i upadkami, talentem do sztuki i nie zawsze talentem do życia, co często chadza w parze.

Miał w życiu wiele wystaw, indywidualnych i zbiorowych. Jego prace znajdują się w licznych kolekcjach muzealnych i prywatnych. Ale dopiero widzowie wielkiej, pośmiertnej, retrospektywnej ekspozycji, zorganizowanej pod nadzorem kuratorskim Joanny Bonieckiej przez

Muzeum Narodowe w Krakowie (marzec–czerwiec 2009), mieli okazję przekonać się, z jakiego formatu dziełem mają do czynienia. Nie wielką próbkę tej twórczości znajdziesz, Czytelniku, przy końcu niniejszej publikacji. Jeśli zaś sięgniesz po ogromny katalog towarzyszący wspomnianej wystawie, znajdziesz komplet reprodukcji dzieł wraz z obszernymi opracowaniami biobibliograficzno-krytycznymi. Portret Grzywacza-artysty-pisarza zostanie dopełniony.

Wspomnianej Joannie Bonieckiej, ostatniej partnerce życiowej i spadkobierczyni Artysty, wyżej podpisany chciałby w tym miejscu podziękować za udostępnienie materiałów do tej książki oraz pomoc w ich opracowaniu.

Z pamięci

O sobie

Urodziłem się w 1939 roku, tuż przed wojną. Okupację pamiętam ledwo że ledwo, styczeń 1945 w Krakowie – dobrze. W szkole podstawowej miałem jeszcze lekcje religii. Pod koniec robiło się coraz więcej gazetek ściennych o pegeerach i plakatów o Trumanie; szło mi to nieźle, poszedłem do Liceum Plastycznego. Mogłem zawsze robić to, co chciałem, nie spotkałem nigdy tak spokojnego, dobrego domu jak mój. W Liceum najbardziej zajmowała mnie entomologia, mineralogia i paleontologia. Miałem łatwość w pisaniu, byłem sekretarzem ZMP. Potem, dzięki Hodysowi¹, polubiłem sztukę, dzięki Hoffmannowi² polubiłem rysowanie.

Rok przed maturą był październik 1956, chodziliśmy na wiece, na których słyszało się o tym, o czym latami się nie słyszało. Przez jakiś czas znowu były lekcje religii. Dużo czytałem, drukowało się wtedy książki, których latami się nie drukowało. Na Akademii w Krakowie staraliśmy się wszyscy być bardzo nowocześni, to były takie lata, po realizmie socjalistycznym. Geometryzowałem uparcie, a kiedy mnie to znudziło, stałem się realistą i trochę surrealistą. Pisałem wtedy sporo

¹ Włodzimierz Hodys (1908–1987) – historyk sztuki, pedagog licealny i akademicki, pierwszy dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie (1946–1955).

² Adam Hoffmann (1918–2001) – malarz, rysownik, pedagog, mistrz i przyjaciel Zbyluta Grzywacza. Będzie o nim w tej książce wielokrotnie mowa.

i zajmowałem się fotografią. Do teraz od czasu do czasu coś piszę, głównie o sztuce – fotografia mnie nie interesuje.

Po Akademii jakiś czas malowałem bardzo niewiele, prawie nic. Zarabiałem. W uczuciach, jak to w uczuciach – też przytrafiały mi się październiki, styczenie i inne miesiące. W 1966 zrobiliśmy wystawę „Wprost” z Maćkiem Bieniaszem³, Jackiem Waltosiem⁴ i Leszkiem Sobockim⁵; była jeszcze Basia Skąpska⁶, ale kiedy zaczęliśmy coraz głośniej mówić o programie, pokrzykiwać i w ogóle – odsunęła się na bok. Teraz mało maluje – w samotności więcej niepewności, w grupie zawsze łatwiej. Szło nam o sztukę bliską życia, nazwano nas wtedy ekspresjonistami, ceniono zaangażowanie, niech tam. Później zaliczono do nowej figuracji, nieważne. Malowałem dużo, robiłem grafiki, rysunki, płaskorzeźby. Przez 10 lat zrobiliśmy tuzin wystaw.

W 1968 był marzec. Rysowałem i malowałem mówców w gazmaskach, samochody w kolorze khaki i inne. Żyłem z chałtur: szyldy, neony, meble, prospekty, etykiety, plansze. Byłem we Francji, we Włoszech, a także w Bułgarii, w Ermitażu, w Moskwie. Wcześniej, jeszcze z Akademią, we Lwowie, na Krymie, w Grecji i w Wiedniu. Oglądałem bardzo dużo obrazów i ludzi. Nie należałem i nie należę do żadnej organizacji – owszem, w Związku Plastyków próbuję czasem coś zdziałać, ale to już chyba niedługo.

W 1970 był grudzień. Nie bardzo mnie to już poruszyło. Namalowałem cykl obrazów, jeszcze nie całkiem zamknięty, o utracie twarzy, kręgosłupa, o ugniataaniu ludzi jak z plasteliny, o mężczyznach i kobietach – manekinach. Wystawiałem gdzie się dało, uzbierało się ponad pół setki udziałów w wystawach krajowych i zagranicznych, kilka indywidualnych. Czasem dostałem wyróżnienie, czasem trzeba było zdjąć jakiś obraz.

Od kilku lat pracuję na Akademii w pracowni malarstwa. Mało kto tam maluje z przekonaniem, z ochotą. Trudno mi się dogadać ze studentami; nie lubią sztuki, czasem nawet nie lubią żyć – takie czasy.

³ Maciej Bieniasz (1938) – malarz, rysownik, pedagog, członek Grupy „Wprost”.

⁴ Jacek Waltoś (1938) – malarz, rzeźbiarz, krytyk sztuki, pedagog, członek Grupy „Wprost”.

⁵ Leszek Sobocki (1934) – malarz, członek Grupy „Wprost”.

⁶ Barbara Skąpska (1938) – malarka, uczestniczyła w pierwszej (1966) wystawie „Wprost”.

Mnie nie bardzo interesuje sztuka współczesna: ta najnowsza irytuje mnie, bo udaje mądrą, a w świecie się gubi i płacze po głupiemu – w dodatku sama w sobie nie wierzy. Maluję nadal, ostatnio trochę mniej. Od jakiegoś czasu sprzedaję obrazy i grafiki, nawet sporo, do muzeów. Myślę o grafice i o nowych obrazach.

styczeń 1976

O sobie II

Najbardziej znane i znaczące obrazy Zbyluta Grzywacza⁷ powstały w latach 1970–80. Wszystkie bez wyjątku dotyczyły wszechobecnego w naszym kraju rozdzwienku między fikcją panującej ideologii i dotkliwą prawdą codzienności. Najdobitniej – już nawet w tytule cyklu – obrazowały to „Fasady”, w których łuszczący się lakier odnowionych na pokaz kamienic odsłaniał zmurszałą tkankę ich ścian i fundamentów. Podobne były obrazy z postaciami ludzi: „Zmięty i odprasowany”, „Wybrakowany”, „Transparentowy”, „Patynowany” z obszernego cyklu „Człowiek bez jakości” i seria „Lalek”, naturalnej wielkości figur kobiecych zbudowanych z dwóch przeciwstawnych sfer – „biologii” i reklamowego manekina. Oba cykle, męski i kobiecy, stanowiły demystyfikację ideologicznego liftingu zakłamującego peerelowską rzeczywistość. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstał cykl „Wołowy” o satyryczno-publicystycznym charakterze. „Porwanie Europy”, „Pegaz”, „Corrida”, „Ursus” były żartobliwą opowieścią o świecie racjonowanego mięsa i kolejek po wszystko. Fragmentom imitującym czarno-białą fotografię towarzyszyły w tych obrazach krwiste barwy uskrzydłonych szturmówkami tuszy wołowych. Grzywacz był w tamtym czasie malarzem dwoistości świata – i dwoisty był język jego sztuki. W każdym z obrazów dokonywało się zderzenie dwóch odmiennych stylistyk: malarstwa traktowanego jako zapis rzeczywistości i malarstwa jako żywiołu nieposkromionych materii i kolorów. Zasada dwoistości ujawniła się w tamtych latach w jednej jeszcze serii obrazów, w cyklu „Opuszczona”

⁷ Autorem tekstu jest sam artysta; patrz: „Bibliograficzne źródła utworów” na końcu książki.

opartym na motywie świętej nierządniczy – Magdaleny. Miłość ziemską i niebiańską personifikowane przez jedną postać umożliwiały artyście stosowanie ulubionego przezeń dualizmu formalnego i znaczeniowego.

W latach osiemdziesiątych, w mrocznym okresie napięcia przed mającym nastąpić politycznym trzęsieniem ziemi, znikła niemal zupełnie tak charakterystyczna dla Grzywacza gra antynomii. Jego malarstwo stało się jednolicie i jednoznacznie szare, ponure, pozbawione kontrastów. Smakowało jak nie popita wodą pigułka od bólu głowy – bo tak gorzka była ówczesna rzeczywistość. Cykle malarskie z pierwszej połowy tej dekady: „Rekolekcje wiśnickie” i „Wiosna ’82” świadczą o rezygnacyjnej postawie malarza – odejściu od interwencyjnej funkcji obrazów i wyrzeczeniu się resztek powabów malarskiego warsztatu. Zwieńczeniem tego okresu stał się alegoryczny moralitet o narodzinach, życiu i umieraniu zatytułowany „Kolejka – siedem etapów życia kobiety”. Naturalistycznie malowane duże akty charakteryzowała dosadność w przedstawianiu odciskających się na ciele kobiet znaków mijającego czasu. W nacechowane dotychczas dysonansami malarstwo Grzywacza wtargnęła – czy raczej wpelzła – jednorodność świata przeżywanego wyłącznie w kategoriach zła i brzydoty. Jednocześnie, w miejsce stosowanego dawniej języka metafory zjawiała się teraz alegoria prowadząca niekiedy wprost w objęcia kiczu (niektóre z obrazów „wiśnickich” i dwie wersje „Ikara” z lat 83–84).

Ostatnie lata przyniosły kolejną zmianę w malarstwie Grzywacza. Poczuvszy, że jest już wolny od pełnionej przez dwie dekady społecznej służby malarstwem, zapragnął służyć malarstwu, malować to, co mu się podoba, a nie jak dotychczas, to, co mu się nie podobało (to jego własne słowa). Ponieważ, jak każdemu w jego wieku, podobają mu się młode dziewczęta, na nich skupił swoje malarskie zainteresowania. Efektem jest spora ilość wykonanych przed naturą szkiców i studiów aktów, obrazów wyzutych z wszelkich odniesień znaczeniowych. Niezależnie od ich jakości artystycznej, jedno powiedzieć można na pewno: malarz dotknięty poczuciem dwoistości świata, tym razem zdaje się z nim godzić, przeżywać go w jego jednorodności. O ile jednak w dekadzie poprzedzającej zmianę systemu politycznego w kraju jego wizje byłyby jednostajnie ciemne i gorzkie, teraz obrazy promieniają równie jednostajną słodyczą. Obie te skrajności w przeżywaniu świata dowodzą, że kontakt z nim jest niepełny, skażony egzaltacją. Co wię-

cej, ostatnie, skupione na przeżywaniu urody świata obrazy, grzeszą nie tylko niedostatkami malarskiego widzenia – co może być zrozumiałe u artysty latami używającego języka sztuki do celów dydaktyczno-moralizatorskich – ale i zanikiem tzw. pierwiastka duchowego. Poprzednie obrazy mówiące o brzydocie i egzystencjalnej kruchości ciała odnosiły się do losów człowieka w jego także pozafizycznym aspekcie; malowane teraz w manierze bliskiej postimpresjonistom akty urodziny panienek nie są w stanie obudzić refleksji, które towarzyszyłyby zmysłowemu i sentymentalnym doznaniom. Rozjaśnienie palety, większa dbałość o estetykę obrazu, rezygnacja z „pozamalarskich” znaczeń, wreszcie zaufanie dla miłych oku motywów nie są w stanie urodzić malarza – a tego właśnie zdaje się od siebie samego oczekiwać Grzywacz. Może w poszukiwaniu nowych zadań malarskich powinien obejrzeć się wstecz, ku początkom drogi, którą przeszło jego malarstwo, zanim zaplątało się w nie mogący znaleźć końca (dwa malowane ostatnio cykle „aborcyjne”) konflikt z rzeczywistością. Ponad trzydzieści lat temu młody wówczas artysta namalował kilkanaście, ujętych w cykle, obrazów: „Orantki”, „Padający”, „Leżący”. Nie było w nich dwoistości, nie było ostentacji w przedstawianiu brzydoty czy urody świata. Były smutne, ale w smutku prawdziwe i ciepłe, a koloru i materii malarskiej było w nich tyle akurat, ile trzeba, by z obrazu nie wionęło chłodem komunikatu ani grozą potępieńczego krzyku.

wrzesień 1998

Było nie było

Mamusia. O świcie telefon. Słucham? – *Dzień dobry Tadek.* – Pomyłka, proszę pani. – *Nie Tadek?* – Nie, pomyłka. – *Jak to, nie Tadek?* – Nie. – *A kto mówi?* – Pomyliła pani numer. – *Jak nie Tadek, to kto mówi?* – A pani kim jest? – *Ja? Ja jestem mamusia!*

Mamusie potrafią dać Tatkowi wszystko, najbardziej pierś i poczucie bezpieczeństwa. Tatkowi już nie wszystko, nawet nie zawsze potrafią dać jak trzeba, jak trzeba dać. Najlepiej potrafią dać szkołę nauczycielom, jak już Tadek pójdzie do szkoły, i się we znaki starym, od dawna osieroconym obcym facetom, co odsypiają pijaństwo, mają kaca i numer telefonu za mało inny niż ich synek.

Ale czasem zdarzy się, że taka obca mamusia niechcący zrobi dobry uczynek i podsunie myśl jak zacząć pisanie autobiografii, która dawno już jest napisana i tylko nie wiadomo było jak ją zacząć.

Akt oskarżenia. Kiedyś wrzasnąłem do mamy⁸, że chce mnie zabić. Nie wytrzymałem już bólu kolejnego zastrzyku wtłaczającego w mój pośladek penicylinę. Czulem, jak mi się rozstępują włókna mięśnia półdupka, jak niesprawiedliwą przemocą wdziera się pomiędzy nie oleista substancja. Stałem na łóżku z podniesioną koszulą, łzy ściekały mi po twarzy, byłem zmęczony, bezsilny, chciałem być zdrowy, ale nie za wszelką cenę. Nie bałem się zastrzyków, przywykłem do nich – ale mięso mojego tyłka było już tak zwałtretowane po dwóch tygodniach zastrzyków, że krzyczało, że już ma dość, że jak długo można, że dajcie mi spokój, że już więcej nie zniosę.

⁸ Eugenia Grzywacz, z domu Durek (1906–1989), pielęgniarka.

Wiedziałem, że to chwilowy kryzys, że to minie, że się wzniosę ponad krawędź bólu, że mama zrobi wszystko, by mi oszczędzić cierpienia – choć do tej oleistej penicyliny trzeba było użyć grubej igły – ale nie mogłem, nie potrafiłem. Z włosami sklejonymi potem gorączki i cierpienia, z napiętymi – choć wiedziałem, że je trzeba było rozluźnić – pośladekami, pobierałem od mamy kolejną porcję uzdrawiającego bólu.

Te anginy dopadające mnie kilka razy w roku to była zmora mojego dzieciństwa. Podobno nie można mi było wyciąć migdałów, miałem zbyt krótkie podniebienie i taka by mi się przepaść zrobiła w nosogardzieli, że nie mógłbym nic ciekawego powiedzieć, boby całe powietrze uciekało ze mnie nie dotykając strun głosowych i one zmarniałyby mi nie używane. Więc nosiłem te moje migdały latami, żeby móc sobie w bezbolesnych przerwach swobodnie pogadać a one sobie swobodnie ropywały na wierzchu i od środka, wywoływały gorączkę i ból nie do zniesienia przy przełykaniu. Kiedy ropywały na wierzchu żółtawymi plamkami, pomagało ssanie witaminy C albo sklepana na czubku aluminiowa łyżeczka, którą te plamki można było przed lustrem, pokonując ból, zeskrobać. Bolało, ale za to przestawało boleć. A jak ropywały w środku, to było gorzej, bo trzeba było brać tę penicylinę – a później, kiedy się już na nią uodporniłem, trzeba było iść do laryngologa i on to ciął i wygniatał. Nazywało się to absces i kiedym pluł krwią i ropą na podstawioną blaszaną nerkę, śmierdziało jak z patroszonej kury. Ale zanim wróciłem od Bonifratrów albo ze Skawińskiej⁹ na Krakowską, ból ustępował, mogłem już przełykać rosół z kury, który się rekonwalescentowi należał, wrócić do łóżka i do przerwanej lektury. Gdyby nie ta angina, tobym tak dużo nie czytał – no bo jak długo można się bawić w wojnę buteleczkami po penicylinie, kryć je w wąwozach i na wzgórzach kołdry, strącać na prześcieradlane dno?

Pierwsze lektury. „Czytaj dziewczynko, czytaj kolego, nowe książeczki Krzyżanowskiego”. Było w domu tych książeczek sporo, ale zapamiętałem zaledwie jedną: „Co wolisz – wieś czy miasto?” z pięknymi kolorowymi obrazkami przedstawiającymi a to wieśniaka na furze pełnej złocistego zboża, a to pana motorniczego kierującego błękitnym tramwajem pełnym ludzi jadących do pracy. Wieś i miasto tak mi się

⁹ Szpital oo. Bonifratrów, przychodnia zdrowia przy ul. Skawińskiej – znane adresy lecznicze na krakowskim Kazimierzu.

na tych obrazkach podobały, że nie umiał odpowiedzieć na tytułowe pytanie – teraz dopiero wiem – i wiem to już od wielu lat, że moim środowiskiem naturalnym jest miasto i basta.

I była książka o tym, jak termometr zachorował (najpierw skarżył się, że głowa, potem, że mu spuchła nóżka i położył się do łóżka), były wierszyki Magdaleny Samozwaniec¹⁰ o tym, jak marcepan i marcepani byli w sobie zakochani (straszne było, że kiedyś na oczach marcepani znikł marcepan w łasej krtani) i wiele innych, które czytała nam mama albo ciocia Lena, ale wszystkich w niedługim czasie nauczyłem się na pamięć. A kiedy nastał czas samodzielnej lektury poznałem Antka Grudę¹¹, bohatera powieści pod tym tytułem i stał się on moim wzorem, ale nie takim, który zachwyca i którym chciałoby się być, lecz takim, co budzi współczucie. Litowałem się nad nim tak samo jak nad sobą samym i czułem, że jestem tylko taki jak on – brzydki, biedny, nie najmądrzejszy. Ot tylko taki – i nic więcej. Coś mnie od małego do realizmu ciągnęło, nie ku literackim fikcjom. Nie zapamiętałem ani jednego słowa z powieści o tym „Jak Zbylut został rycerzem”¹², nie zamarzyłem nigdy, by przywdziać rycerską zbroję – ale buty Antka Grudy, zbyt duże na niego, dziurawe i przemakające – te pamiętam po dziś dzień, polubiłem je za ich żalosną prawdziwość i kiedy o nich myślę, stają mi przed oczami buciory namalowane przez Van Gogha.

Żelazny wilk. Przeceniając mój system nerwowy, mama zaczęła mi kiedyś czytać „Opowieść o żelaznym wilku”¹³. Niby normalna bajka – ale w pewnej chwili coś w niej skoczyło z drzewa na tego księcia czy rycerza i zaczęło go kolanami okutymi w żelazną zbroję dusić i się rozryczałem już po pierwszej stronie i mama oddała książkę do biblioteki, a ja pozostałem w żalu, że do lektury nie dojrzałem. Pamiętam, żeśmy się z mamą zastanawiali: oddać, nie oddać. Przegrałem z własnym stra-

¹⁰ Magdalena Samozwaniec (1894–1972) – pseudonim literacki Magdaleny Kossakówny, córki sławnego malarza Wojciecha Kossaka, skandalizującej pisarki satyrycznej.

¹¹ Maria Kędziorzyna, „Antek Gruda”, powieść z roku 1938.

¹² Stanisław Wilczyński, „Jak Zbylut został rycerzem”. Zbylut Grzywacz miał zapewne w ręce wydanie tej książeczki, z roku 1947, nakładem krakowskiej księgarni T. Gieszczykiewicza.

¹³ Właściwy tytuł: „Bajka o Żelaznym Wilku” (1911), autorstwa Wacława Sieroszewskiego.

chem, chyba ustaliliśmy, że kiedyś weźmiemy się ponownie za metal, a teraz przerobimy tekstyla w rodzaju „Galgankowej Balbisi”¹⁴, „Niebieskiego mundurka”¹⁵, czy „Żółtej ciżemki”¹⁶. Do żelaznego wilka nie wróciłem – czytałem o prawdziwych wojnach opisywanych przez Kraszewskiego, Sienkiewicza, Bunscha i Gołubiewa. Chłopcy, zanim się własnej historii dosłużą, czytają książki historyczne.

Nie, chyba to nie zawsze jest tak, bo mój tata, kiedy miał tyle lat co ja teraz, czytał w kółko „Faraona” i „Trylogię” – co jedno skończył, to drugie zaczynał – a przecież już miał swoją historię i przeżył obie wojny światowe. No to przyznam się, że nie wiem, jak jest naprawdę z tymi chłopcami i z historią – dość, że czytałem dużo i tak się w tym czytaniu zaprawilem, że choć już potem nie miewałem angin i wycięto mi jednak te moje migdały, to nadal czytałem i to coraz więcej. A jeszcze później, kiedy już byłem naczytany, to zacząłem pisać. I tak, od anginy do pisania, tłumaczy się prosto to, co masz przed sobą.

Pierwsza materia. „Pierwszą materią artysty nie jest nigdy natura lecz zawsze inne dzieło sztuki”. Trzeba oglądać obrazy, żeby je malować, słuchać muzyki, żeby ją komponować, czytać książki, żeby je pisać. Na szczęście nie każdy, kto czyta, zabiera się za pisanie, boby nas książki zadusiły nadmiarem – a książki są, by się łatwiej oddychało. To zdanie o pierwszej materii artysty napisał André Malraux, którego książki też czytałem, np. „Dola człowieka” i „Klimaty”¹⁷, ale nic z nich nie pamiętam, nawet klimatów. Strasznie się mało pamięta z przeczytanych przed laty książek, strzępy zaledwie. Ale tak ma być, książki przetwarzają się jak każdy pokarm i na coś tam one się w nas przetwarzają. Resztę się wydała przez specjalny otwór odbytowy w pamięci; mówi się przecież o dziurawej pamięci. Z czasem zwieracz zupełnie się dezeluje i pod koniec życia wysypuje się z człowieka to, co zaległo najgłębiej – dziecięce lektury i dzieciństwo samo. Wie o tym każdy młody, który

¹⁴ Janina Broniewska, „Historia galgankowej Balbisi”, 1936.

¹⁵ Wiktor Gomulicki, „Wspomnienia niebieskiego mundurka”, 1906.

¹⁶ Antonina Domańska, „Historia żółtej ciżemki”, 1913.

¹⁷ Pomyłka Z. Grzywacza wynika zapewne z podobieństwa nazwisk: autorem „Klimatów” (1928; polskie wydania 1930, 1957 i nast.) nie jest André Malraux, lecz André Maurois.

musi słuchać starego i każdy stary, co musi młodego zamęczać wspomnieniami.

Kotlety z migdałami. Ta angina latami dziecinnymi odwiedzająca mnie regularnie to była zmora, ale jednocześnie coś, do czego wracam bez przykrości; przykre a nawet zmorowate wydarzenia z przeszłości wspomina się z lubością. Było, minęło, można już teraz podejść do powalonej przez czas bestii, pokazać jej język, opowiadać przyjaciołom, sąsiadom w kolejce, wnukom, jaka była straszna i czego to ja przez nią nie przeżyłem.

Kiedy już byłem na studiach, pani Ewa¹⁸ poprosiła swojego kuzyna, który był laryngologiem i ordynatorem szpitala w Nowej Hucie, żeby mi jednak wyłuskał te migdały, bo nieustanna obecność ropy w organizmie niszczy serce, a od czytania w gorączce psuje się wzrok. No to mi wyłuskał, a ja mu za to zrobiłem tabliczki z napisami na wszystkie drzwi w szpitalu.

Od dziecka słyszałem, że usuwanie migdałów to kosmetyczny zabieg – a w dodatku potem, żeby się prędko zagoiło, dostaje się masę lodów. Pan docent strasznie kłął podczas tej operacji, bo moje migdały przez te częste przecinania abscesów zamieniły się w twarde, chrząstkowaty twór, który trzeba było mi z gardła wyszamotać i jeszcze założyć szwy. Moja dusza nie chciała się rozstawać z moim ciałem (to był pomysł pani Ewy, że migdały są siedzibą duszy – stąd pewnie mówi się o niebieskich). Ciało krwawiło po swojemu – bo taki ma zwyczaj w podobnych przypadkach – a dusza chichotała pod działaniem evipanu czy innego rozweselacza. Śmieszyła mnie bezwłosa czaszka ordynatora i zdumiewała ilość i soczystość jego przekleństw. Pomyślałem, że wielkim przystoją rzeczy i słowa, które nie przystoją niewielkim i widząc wokół kilkudziesięciu studentów, co przyszli, bo dziś sam ordynator operuje, zastanawiałem się, czy oni jego biegłość w czynie skojarzą na zawsze już z ordynarnością jego mowy. Zamiast obiecanych w dzieciństwie lodów zjadłem natychmiast po operacji przyniesionego mi przez pomyłkę schabowego z kapustą i ordynator kłął jeszcze bardziej; tyle się przecież namęczył, żeby mi tego zbyt krótkiego podniebienia nie skrócić, a tu po jego jubilerskiej robocie panierunkiem się szura.

¹⁸ Ewa Kierska (1923) – malarka, żona Adama Hoffmanna.

Sięszuranie nie uszkodziło narządów głosowych i nie zaniemówilem – przeciwnie, rozgadałem się okrutnie i nie mogę sobie z tym poradzić. Może mi docent przedłużył podniebienie? Ale czy ktoś słyszał, żeby laryngolog przedłużał?

Gramatyka. W związku z tymi tabliczkami na sto kilkadziesiąt drzwi spędziłem w szpitalu dwa tygodnie, polubiłem rytm pizamowego życia, termometr o piątej rano i jedną salową, która, schylając się po baseny pod łózkami tak się pięknie wypinała, żem musiał rękę ręką trzymać, żeby, jak po mój basen przyjdzie, nie złapać jej za jej. I polubiłem przełożoną pielęgniarek, bo mi w żyłę w moje bezsenne a jej dyżurne noce dawała, choć wiedziała dobrze, że nie ta żyła mnie boli. Dobrze, że nie nadbudowali piętra ani nie dobudowali skrzydła szpitalowi, bo po setce następnych tabliczek na drzwi tak bym się od tej przełożonej uzależnił, że przestałbym być niezależny. Nie przestałem i dane mi było po dwudziestu latach znów spędzić dwa tygodnie w miłym męskim towarzystwie – tym razem w celi wiśnickiego więzienia. Obie te sesje wyjazdowe wspominam z sentymentem, choć w tym drugim przypadku (kogo?, czego?) brakowało salowych.

Pionowo ustrój, poziomo kwiat. Serce mi się zepsuło, wzrok też, co do duszy to nie mam pewności, ona też nie ma, a wszystko przez jakiś niewielki feler w wyściółce jamy gębowej. Coś tam było generalnie nie w porządku, bo poza zbyt krótkim podniebieniem miałem też pod językiem niedomiar jakiegoś ścięgna czy błony i nie byłem w stanie powiedzieć, że słońko świeci, tylko że honko heci; żeby się dowiedzieć jaka naprawdę jest pogoda trzeba było czym prędzej mi język podciąć, żeby się uruchomił. Jednocześnie po drugiej stronie błonowo-słuzowego osprzętu pojawił się niedostatek w postaci zbyt ciasnego napletka, czyli dolegliwości o śpiewnej nazwie stulejka. A poza tym kiedy przychodziłem na świat, jedno z moich jąder zawahało się, czy ma zstąpić na przewidziane dla niego miejsce i dyndać razem z drugim, czy pozostać w ciepłej wnętrzności brzucha. Do teraz usiłuje czasem wrócić skąd przyszło i wcale mu się nie dziwię, chociaż bywa to dla mnie bolesne. Ale to mój problem; ono nie boli jego tylko mnie; pewnie miałem być jednojajeczny. Jedna z moich przyjaciółek miała dobermana, Lajos się nazywał – biegał tak szybko po ulicach, że jak brał zakręt, to się nie wyrabiał i stale miał zakrwawione boki. I on miał jedno jądro

– był monorchid, o czym się dowiedziałem po wizycie tej przyjaciółki z nim u weterynarza. Nie zazdrościłem Lajosowi – naprawdę miał te boki stale w strupach – ale mieć w miejsce tego, czego się nie ma, monarchię i orchideę w jednym – to byłoby wspaniale.

Pierwszy ból jaki pamiętam to podcinanie języka. Określenie „tępy ból” wzięło się stąd, że była wata rozpychająca mi usta i wszystko było wygłuszone, otępiałe – głuchy, tępy ból. Siedziałem na wysokim krześle w ciemnym pomieszczeniu – tak to pamiętam, a przecież było z pewnością jasno – więc i „ciemność bólu” ma swoje uzasadnienie. Był lekarz i była mama. Mógł być ten pan doktor uporać się za jednym zamachem i z moimi migdałami, ale pewnie właśnie wtedy, choć darłem się w niebogłosość, powstała ta legenda o zbyt krótkim podniebieniu. Niebieskie migdały coś tu mają do rzeczy, skoro niebogłos, nieboskłon i podniebienie blisko się siebie w moim prywatnym tezaurusie trzymają. Dobrze zresztą, że mnie nie pozbawiono wtedy migdałów, bobym pewnie tyle nie czytał tylko grał w piłkę oraz w zośkę i jadł lody. I mógł ten doktor, skoro powiedział A powiedzieć B i podciąć mi ten napletek. Ale wtedy była okupacja i wszelkie widome ślady obróbki narządów mogły się dla obrabianego źle skończyć. Co zresztą laryngologowi, który każe bez przerwy wszystkim mówić a, do rejonów, o których księża mówią, że są be?

Zmysł węchu. Mama opowiadała mi, że swój ręcznik w łazience rozpoznawałem węchem. Najwidoczniej moje reakcje na kolor były już od dziecka niewystarczające – ale zapach, to było dla mnie zawsze coś bardzo ważnego. Zapach lakieru ołowianych żołnierzyków, które dostałem kiedyś na gwiazdkę jeszcze na ulicy Stanisława w czasie okupacji (ustawiałem ich w transzejach szpar pomiędzy deskami podłogi), zapach woskowych kredek, lakieru na ołówkach, zapach rozkładającej się w błocie trawy, którą przynosiliśmy ze Sławą¹⁹ dla królików (nie wiem dlaczego nazywaliśmy ją kapustką), zapach dzikich, małych, ciemnofiołkowych fiołków, po które wspinaliśmy się wiosną na wawelskie stoki, zapach piernikowych Mikołajów, atramentu w szkole i gnojówki na wakacjach. I jeszcze wakacyjne zapachy palonych jako cygara

¹⁹ Mieczysława Grzywacz (1936–1996), siostra artysty, nauczycielka.

wysuszonych łodyg słonecznika, krążonej w sieczkarni świeżej koniczyny, gotowanych w łupinach ziemniaków dla świń – i tyle innych, które pamięta się łatwiej i trwalej niż obrazy. Ale jak opowiedzieć zapach sinych grudek karbidu, którym napełniało się lampy? Do czego go porównać? Jak zbudować zapachową wspólnotę świecy, nafty i karbidówki z pokoleniem bezwonnnych halogenów? Niedawno, w zatłoczonym tramwaju owionął mnie zapach karbidu z czyichś ust. Co mogło tak urzekająco pachnieć? – ropa?, czosnek? Może jedno i drugie – dość, że ubyło mi w okamgnieniu pięćdziesiąt lat.

Gry i zabawy. Pamiętam zapach piłki z lanej gumy, którą kopaliśmy na podwórku; była czarna, ciężka, porowata jak lawa wulkaniczna. Ale kiedy ją dostałem, była różowa i lekka. Bunia kupiła mi ją na targu na Placu Szczepańskim. A może to był odpust? – opodal jest kościół Reformatów.

Nie tylko piłka pachniała gumą – pachniały też kondomy. W tamtych czasach mówiło się o nich kondony i po dziś dzień „kondom” brzmi dla moich uszu równie sztucznie jak jego stosowanie; nam służyły do zabawy, nadmuchane zamieniały się w balony, które podbijało się palcami. Leciały w górę i miękko opadały. Szturchnięte nie przyściętym paznokciem pękały z hukiem. Szkoda – bardzo chciałem mieć kondona na własność – ale nie umiałem samodzielnie kupować. Sprzedawane były w pudełeczkach po 3 sztuki, kosztowały 3 złote i 15 groszy. Kłopot był w tym, że trzeba było użyć sposobu, żeby wejść w ich posiadanie. Należało odliczone pieniądze włożyć do koperty i dołączyć list, niby to od któregoś z rodziców, z prośbą o sprzedanie paczki Ola Gum – od przedwojennych chyba jeszcze czasów tak się nazywały. Najlepszy w kupowaniu był Adek, którego ojciec dawno już nie żył, ale przecież sprzedawca o tym nie wiedział. Matka, drobna, siwa kobieta, która, pamiętam, przychodziła po Adka do szkoły na Podbrzezie (raz na prośbę mojej mamy chciała i mnie przyprowadzić do domu, ale jej uciekłem i po raz pierwszy wróciłem do domu samodzielnie) – to ona chyba dostarczała Adamowi swoim pismem wzoru do sporządzania sekretnych listów do sprzedawcy. Udawało się. Transakcja odbywała się w wielkim napięciu. Czekaliśmy w bramie, a jeden z chłopców, nigdy nie byłem nim ja, wchodził do sklepiku (był taki malutki sklepik, na rogu Krakowskiej i Józefa) albo do apteki – apteka była tu, obok mojej kamienicy chyba zawsze, między sklepem, gdzie kupowało się różno-

kolorowe landrynki w kształcie rybek – dwie za różowe, papierkowe 50 groszy (poproszę mieszanych rybek – masz tu dwie, pomieszaj sobie) – i sklepem z wędlinami, gdzie można było kupić za złotówkę 10 deko resztek, leżących na półmisku okrawków kielbasy, szynki, pasztetówki. Wychodził po chwili rozpromieniony z paczką olagumów w zaklejonej kopercie. Do czego one służyły dorosłym nie było dokładnie wiadomo. Podobno zbierało się w nich jakieś płyny, chyba siuski, ale nikt nie wiedział po co. W mojej pamięci przyłgnęły dość szczelnie do wielkiej pasztetowy konia, która wysuwała się spod jego brzucha, kiedy zabierał się do sikania zostawiając na jezdni spienioną, parującą kałużę.

Zmysł dotyku. Nie byłem już wtedy bezgrzeszny, z ciekawością oglądałem swoje przyrodzenie. Nie odczuwałem nic szczególnego, ale przeczuwałem pewnie, że trzeba to robić, że to do czegoś prowadzi, czekałem na coś – może czekała moja natura, przyroda, przyrodzenie i żeby być gotowym na nadejście tego czegoś byłem w pogotowiu, miałem na podorędziu, pod ręką, wręcz w ręce, oręż stosowny do tego boju, który trzeba będzie stoczyć.

Pierwsza kara za grzechy. Kiedyś, gdy siedząc w klozecie zwiedzałem własne posiadłości na własną rękę, poczułem nagle, że wariuję. Z trudem powstrzymałem krzyk; byłem przekonany, że grzeszność moich postępków – wiedziałem przecież, że tego, co robię, robić nie wolno, że trzeba żyć w samonieświadomości – została wreszcie ukarana. Myślałem w czasie tych ciągnących się bez końca sekund, że to znięcenie umysłu, wariactwo, pozostanie mi już na zawsze. Oddychałem z wysiłkiem, na dole brzucha i w kręgosłupie czułem łaskotanie, słodkie uczucie mdłości i bezsily. Kiedy minęło, uciekłem z klozetu przyrzekając sobie, że ostrzeżenie, którym był dla mnie ten szokujący moment, wpłynie na moją poprawę i życie w cnocie.

Naganność moralna onanizmu była oczywista. Choćby nie wiem jak dokładnie myć części wstydlive, choćby je szorować ryżową szczotką do podłogi, drapać pumeksem, to i tak pozostaną brudne, ba, nawet ten fragment mózgu, którym się o nich myśli, zanieczyszcza się – a mózgu nie ma już czym wyczyścić, chyba tylko w czyśccu, ale to po śmierci. Takie pośmiertne – w dodatku, jak mówił ksiądz na religii – trwające kilkaset lat, pranie mózgu było jednak mojej dziecinnej wyobraźni niedostępne. Bliższe jej było i łatwiejsze do ogarnięcia to,

co działo się z ciałem takiego świntucha. Kiedy wypłyną z człowieka wszystkie soki żywotne zgromadzone w kręgosłupie, którego przedłużeniem jest nieczysty narząd, kręgosłup wiotczeje i człowiek się garbi, a nawet przestaje móc chodzić. Widywałem takich nieszczęsnych starców, co ledwie powłóczyli nogami i wiedziałem, że zasłużyli sobie na to grzesznymi praktykami. Przygarbione chodziły także staruszki, pewnie zarażały się od tych niegdysiejszych grzesznych chłopców, całując się i macając z nimi. Bo przecież dziewczyny nie biły konia – jak bić coś, czego się nie ma – dziewczyny były czyste i brudziły się tylko od chłopców. Taki chłopak, co pobrudzi dziewczynkę, to lepiej, żeby sobie przywiązał kamień młyński do szyi.

Dość wcześnie zrozumiałem różnice płciowe między mężczyznami i kobietami. Mężczyźni, kiedy się już chłopcy nimi stają, muszą iść do wojska – to znaczy zabiera się ich od ich mam. Nic gorszego nie umiałem sobie wyobrazić i nie było pociechą to, co mówiła mi moja mama, że i dziewczynki czeka niewesoły los, bo muszą rodzić dzieci – a taka operacja strasznie boli. Pan Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu, mówił ksiądz na religii, sprawiedliwie rozdać chłopcom i dziewczynom nagrody i kary. Gdyby nie ten straszny grzech nieczystości, chłopcy nie musieliby iść do wojska i mogliby spokojnie zostać z mamami, a dziewczynki nie musiałyby rodzić w bólach. I to wszystko przez te moje i moich kolegów świństwa. Bo pan Bóg widzi wszystko, nawet przez zamknięte drzwi od klozetu. W trójkącie na każdym klozecie przeznaczonym dla chłopców i panów widziałem oczami wyobraźni oko opatrności i wiedziałem, że na nic się nie zda zatykanie dziurki od klucza papierkiem albo gałgankiem – pan Bóg podglądał mnie dla mojego zbawienia, a jego synek dał się za mnie przymocować gwoździami do skrzyżowanych desek. Na cierpienie byłem wrażliwy, nawet bardzo – tak bardzo, że kiedyś użaliłem się jednocześnie nad losem konia, co ciągnął ciężki platon z węglem, i nad ziemią, którą musiały strasznie boleć uderzenia podkutych żelazem krzeszącym iskry o bruk końskich kopyt.

Anioł i kupa. Pan Bóg strasznie się męczył przez nas, miał z nami kupę roboty i dlatego wezwał na pomoc aniołów stróżów. Wisiał nad moim łóżkiem w mieszkaniu przy św. Stanisława obraz przedstawiający Anioła Stróża przepędzającego chłopczyka i dziewczynkę przez kładkę nad płynącym w dole wzburzonym strumykiem. Anioł miał na sobie nie-

bieski szlafrok i skrzydła – jakby się kładka zerwała, mógłby odlecieć. Gdybyśmy byli grzeczni, a nie grzeszni, to by nas zabral ze sobą.

Jako dziecko byłem bardzo pobożny, to znaczy myślałem po Bożemu. Mówiłem paciorki do Matki Boski Częstochoski i do Stróża Anioła. Ten ostatni skojarzył mi się z nocnikiem, bo kiedy siedziałem na nim, na tym nocniku (trzeba było cierpliwie odczekać, aż ciepła pupa, wyrwana czasami ze snu, ogrzeje zimną blachę jego krawędzi), powtarzałem naumiane słowa: rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze kupo mocy – i trochę mnie ta anielska kupa składana przeze mnie peszyła. I peszyło to, że ten anioł musiał zawsze, nawet jak siedziałem na nocniku, przy mnie stać i jak tu takiemu aniołowi puścić diabelsko śmierdzącego bąka. Stróžu mój, ty zawsze przy mnie stój. Funkcje stróża przejął z czasem dozorca, któremu trzeba było płacić szpyrę wracając do domu po zamknięciu bramy. A potem nadzorca. Ale to już w wieku dojrzałym, kiedy opozycjoniści w latach siedemdziesiątych, i później, mieli swoich nadzorców, czyli Aniołów Stróżów. Mój nazywał się pan Zygmunt, a kiedy poszedł na emeryturę, opiekował się mną Majewski. Ale te imiona i nazwiska to była lipa, bo ciężka praca służb mojego bezpieczeństwa była głęboko zakonspirowana.

Przednią rozrywką w trakcie robienia kupy było udawanie motocykla; znudzony oczekiwaniem aż się ze mnie nieczystości wydała, rychło nauczyłem się uprzyjemniać sobie czas wydobywaniem z gardła odgłosów przypominających warkot silnika motocyklowego. Nauczyłem tej zabawy Sławę i przypominam sobie, że kiedyś, siedząc w ciemną noc okupacji naprzeciw siebie, każde na swoim nocniku, ścigaliśmy się w imitowaniu motocyklowych wyścigów. Nie pamiętam, kto zwyciężył. I kto miał lepszego anioła stróża.

...do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych... Kupa i pupa kojarzyły się ze sobą w sposób naturalny – bez jednego nie byłoby drugiego i nie wiadomo, które dla którego zostało przez Stwórcę stworzone. Szczęściem dla mnie pupa nie skojarzyła mi się z nieczystością, a przeciwnie – z gładkością, czystością i niewinnością. Pamiętam, że kiedyś, kiedy byliśmy ze Sławcią sami w pokoju (wciąż jeszcze Niemcy nas okupują, a Rosjanie zwlekają z oswobodzeniem) ustawiłem zapalki, główkami do góry, w wąwozie między jej pośladkami. Leżała goła na brzuchu i oglądała chyba jakąś książkę. Nie było wtedy jeszcze klocków Lego i dzieci musiały się bawić tym, co było pod ręką. To był

mój pierwszy akt twórczy, powoływałem do istnienia nową rzeczywistość zderzając ze sobą (delikatnie, żeby nie pokaleczyć) dwa światy: organiczny (siostra) i nieorganiczny (zapalki). Teraz trzeba by to było nazwać instalacją.

A jednak czułem jakiś moralny niepokój – wiedziałem, że się dzieciom nie wolno bawić zapalkami, bo mogą wywołać pożar. I rzeczywiście, zapaliłem się od tego czasu niebezpiecznie do zabaw dziewczęcymi pupami. A wtedy? Może chciałem zalesić te wystające pagórki, oddać zapalki drzewom, z których były zrobione? A może miał powstać z tego połączenia dwóch odległych światów (dupa do zapalki ma się jeszcze mniej niż piernik do wiatraka) pióropusz wodza Apaczów albo husarskie skrzydło, nie pamiętam – chyba nie wiedziałem jeszcze wtedy o walkach czerwonoskórych z bladymi twarzami i nie znałem zasług Sobieskiego w tępieniu Turków dla salwowania Kościoła. Węć raczej był to koguci grzebień albo – co dziś wydaje mi się najprawdopodobniejsze – korona na głowie pawia. Pamiętam rozdzierające krzyki pawia, który siadywał na balustradzie ganku u pana Franka, kiedy całą rodziną (ojciec przyjeżdżał tylko na niedziele i godzinami siedział pod lasem trzymając na szpagatowej uwięzi zmajstrowanego przez siebie latawca) spędzaliśmy wakacje w jednej z podmyślenickich wsi, z której wywodziła się od kilku pokoleń rodzina mamy.

Wracaliśmy z wakacji zawsze z pękami pawich piór, w tym także z tymi malutkimi, które czasem gubił ze swojej korony paw samiec. Dopiero później, po latach, dowiedziałem się, że przechowywanie w domu pawich piór przynosi nieszczęście. Pewnie dlatego Kraków, którego mieszkańcy zamiast chodzić w krakuskach po ulicach trzymają je w domach, jest miastem tak nieudacznym. Paw siedzi w Warszawie ze swoją koroną – a pod Wawelem ostały się tylko te nieszczęsne, ubłoczone pawie pióra. Jak się pawiowi pióra ubłocą, to je dziobem sprytnie wystrzyga w półksiężyc – taki elegant. Pióro nie ma wtedy pawiego oka, ale i nie ma brudu; brak mu piękna, ale i brak brzydoty.

Grzybobranie. Ojciec²⁰ pracował w czasie okupacji w Kalwarii Zebrzydowskiej, w Ubezpieczalni, a po wojnie w Katowicach. Rzadko udawało mu się spędzać wakacje z nami, wpadał czasem na dzień,

²⁰ Mieczysław Grzywacz (1900–1965), urzędnik ZUS.

dwa. Kiedy nie było wakacji, jeździliśmy czasem do niego, do Kalwarii – bardziej wiem o tym, niżbym mógł pamiętać. Najlepiej, choć mgliście, zapamiętałem wyprawę z tatą w któryś z kalwaryjskich lasów na opieńki, późną jesienią. Na grzyby chodziło się o świcie, a ponieważ późną jesienią świty bywają późne, znaleźliśmy się w lesie przed świtem i pewnie zasnąłem, bo pamiętam przebudzenie w mrocznym lesie i widok pełnego grzybów worka opartego o pobliskie drzewo. Była mgła i niewiele poza pionowymi smugami bladego światła mogłem dostrzec. Trochę się pewnie przestraszyłem, skoro do dziś coś mi się wydaje, że to ja byłem uwięziony w tym worku opartym o drzewo.

Pierwszy strach. Poznałem go tylko z opowieści mamy. W ogóle to, co pozostaje w pamięci z najwcześniejszego dzieciństwa, to mielonka złożona z zasłyszzeń, późniejszych wyobrażeń i rzeczywistych przypomnień. Nie łatwo jest donieść wspomnienia do dorosłego czasu, bo tam, gdzie się je przechowuje, panuje cały czas ruch. Nie ma w głowie spokojnego regału na samą pamięć. Człowiek stale tam grzebie, sięga na półki po jakieś przypomnienie, ogląda je i odstawia już zmienione, zmieszane z aktualnym wyobrażeniem. Coś mu się wydaje, przedstawia słowa i obrazy, zapachy i dźwięki, coś gubi, coś uzupełnia, wydarzenia kleją się do siebie, wyobrażenia nie pozwalają pamięci czekać latami w czystości. A jeszcze bywa, że coś komuś opowiesz – jakbyś mu książkę pożyczył i on ją potem oddaje, a ty już o niej zapomniałeś. I wtedy wraca fragment twojej pamięci przez kogoś oddany, z trudem odszukujesz po omacku jego miejsce na półce...

Mama opowiadała mi, że kiedyś – to też było jeszcze w czasie okupacji, więc w mieszkaniu na św. Stanisława, nad Wisłą – kiedy wróciła późno do domu, zastała mnie śpiącego w łóżku z siekierą. Odniosła siekierę do kuchni, a rano dowiedziała się, że ją zabrałem ze sobą dla obrony, na wypadek gdyby przyszli Niemcy. Teraz widzę tę siekierę obok siebie, na poduszce – ale to przecież wyobrażenia, nie pamięć.

Pamiętam natomiast bardzo wyraziście moment, kiedy po ojca i pana Wacka przyszli Niemcy, żeby ich zabrać do obozu w Płaszowie. Ojciec był chuderlawy, a kiedy wrócił po paru miesiącach, to go prawie nie było, za to przyniósł oswojoną kawkę w tekturowym pudełku. Ojciec jadał zupę swoim szczyrykiem, bo się brzydził sztucznymi obozowymi. Pamiętam jak i w domu odsuwał na krawędź talerza to, co mu się w zupie nie podobało – a nie podobało mu się wiele cebul i innych

śmiec, jak na przykład pietruszka. Przypadkiem chyba udało mi się go zobaczyć, jak wychodzi zza narożnika muru klasztoru na Skalce w jasnym prochowcu i kaszkiecie i zbliża się do naszej kamienicy – to widzę jako wyrazisty, jasny obraz. Pewnie wiedzieliśmy, że ma tego dnia wrócić i wypatrywałem go na wałach nad Wisłą. Nie mam pojęcia, jaka to była pora roku. I nie wiem, kiedy go zabrali. Do pamięci przykleiły się tylko dwa obrazy. Kiedy żegnaliśmy się z tatą w przedpokoju, pan Wacek (to był pan od ciotki Leny, która z nami mieszkała) coś był wobec tych Niemców niegrzeczny, chyba nawet bardzo, bo jeden z nich wyjął rewolwer i przyłożył mu lufę do głowy. Kiedy już wszyscy poszli i mama została z nami sama, dostaliśmy, ja i Sławcia, po łyżeczce wiśni w spirytusie. Były pyszne, słodkie i palące i dobrze się po nich zasypiało. Mama wypila całą szklaneczkę tej nalewki – ale to, to już wiem od mamy.

Dzięki temu rewolwerowi i wiśniom zapamiętałem rozstanie z tatą, a dzięki jasnemu prochowcowi i czarnej kawce jego powrót. Tu nie mam wątpliwości, że to moja własna, samodzielna, nieszkodzona przez czas, pamięć.

Nie pamiętam wybuchu wojny, która przyszła na świat niespełna 3 miesiące po mnie, nie pamiętam naszej ucieczki na wschód, a potem, po kilku tygodniach, naszej ucieczki na zachód. Ale wyobraźnia napełniona opowiadaniem mamy rysuje mi wcale dokładne obrazy – całkiem jakbym tam był.

Moja pierwsza śmierć. Nad kolumnami uciekinierów kierujących się na wschód pojawiały się czasem niemieckie samoloty. Trzeba było wtedy odbiegać jak najdalej od drogi i szukać kryjówki pod drzewami, w krzakach i w rowach. W czasie jednego z nalotów, leżąc już w krzakach (Sławcia schowała głowę w trawie i z wypiętą w stronę nadlatujących samolotów pupą w czerwonej sukience pytała – widać mnie?), mama spostrzegła, że mój powijak, który porwała z samochodu jest pusty. Zaczęła mnie w panice szukać w trawie, pomagali jej inni, szofer popędzał, żeby jechać, bo już po nalocie, wreszcie wszedł do auta. Po chwili mama zobaczyła go, jak gramoli się z niego trzymając za nogę gołe niemowlę, które znalazł wrzucone siłą nagłego hamowania w okolicy silnika przed pierwszym siedzeniem. Z krzykiem rozpaczliwie wyrwała mu z rąk ciepłe jeszcze ciało, po czym przekonała się, że mój bezwład i zamknięte oczy to objawy zdrowego, niczym niezakłóconego snu.

Póki co, moje ciało nadal jest ciepłe – a kiedy napotykam w tym darowanym życiu na trudne sytuacje, marzy mi się, żeby je przespać.

Turystyka rodzinna. Z Żywca, gdzie mieszkaliśmy tuż przed wojną, dojechaliśmy aż do Rohatyna na Ukrainie. Podróż była luksusowa, w aucie, które arcyksiążę z żywieckiej linii Habsburgów (ciepło mi się robi na myśl, żem się choć w ten sposób o prawdziwą historię otarł) oddał do dyspozycji ewakuowanych rodzin pracowników Ubezpieczalni. Tata został w Żywcu ubezpieczać Ubezpieczalnię. W Rohatynie Rosjanie poprosili, żebyśmy wrócili tam, skąd przyszlizmy. Zabrali auto – pewnie do czegoś im było potrzebne – mamie za to pozwolili zabrać ze sobą to, co uniesie ze swojego uciekinierskiego dobytku. Zabrała Sławę i mnie przytroczonego do kufra z wikliny. Pchając go przez belki zastępujące wysadzony w powietrze most na granicznej rzece, przeprawiła się na drugą stronę. Opowiadała potem, że kiedy tak pchała ten kufer, to on się mocno zachwiewał nad spienionymi w dole falami (tu padała nazwa rzeki), a uczepiona z tyłu spódnicy maminej Sławcia powtarzała bez przerwy, że się nie boi. Ja też się nie bałem, tylko spałem jak zwykle, ale mi potem mówiła mama, że to było tak, jakby mi drugi raz ofiarowano zagrożone życie. Kiedy wyobrażam sobie tę scenę, myślę o wiklinowym koszyku, w którym płynął spienionym nurtem malutki Mojżeszek – i nic na to nie poradzę, że mało brakowało, a otarlibym się także o historię biblijną.

Jak to dobrze, że po wojnie nie było do czego wracać w Żywcu! Lubię Kraków, jestem dumny z tego, że się tu urodziłem i jest mi przyjemnie pędzić tu beztroski żywot. A może to nie ja go, a on mnie pędzi? W Żywcu nie zachowało się nic z zawartości zasobnego kiedyś mieszkania, w którym zamieszkali jacyś zupełnie obcy ludzie. Mamie najbardziej było żal wielotomowej „Historii Powszechnej” Trzaski, Everta i Michalskiego i encyklopedii Gutenberga, a ojcu tego, że już nigdy potem, póki żył, nie udało nam się mieszkać w samodzielnym mieszkaniu.

W drodze powrotnej z Rohatyna mama zatrzymała się w Krakowie, u swojego ojca na Dunajewskiego. Kiedy udało się dziadkowi znaleźć nam mieszkanie nad Wisłą – tak sobie myślę teraz, że po jakichś wypędzonych do getta Żydach, bo to przecież Kazimierz – rozpoczął się okres mojego ogarnianego już pamięcią, prawdziwego życia.

Pierwsza nie moja śmierć. Pani Heinrichowa, która mieszkała nad nami na drugim piętrze, miała papugę i balkon, który wychodził na Wisłę. Często częstowała nas ziarnami czarnego słonecznika. Ziarna białego w czarne paski były większe i smaczniejsze, ale były przeznaczone dla papugi. Suszyły się w słońcu na gazetach, którymi wyłożony był balkon. Stałem na balkonie, obok mnie w klatce siedziała papuga, na gazetach pod nogami leżały ziarna słonecznika, świeciło słońce, ludzie przejeżdżali łodzią przewoźnika przez Wisłę i udawali się Plantami Dietla do miasta. Na przejściu do Plant stało kilku Niemców, którzy legitymowali przybywających. Przebiegało to sprawnie, *Ausweis bitte*, i nagle coś błysnęło jeszcze mocniej niż słońce, trzasnęło jeszcze głośniejsze niż ziarno słonecznika w papuzim dziobie i jakiś człowiek przewrócił się na ziemię. Odciągnięto go na bok, żeby nie przeszkadzał innym, którzy kenkarty mieli w porządku. Pani Heinrichowa zabrała mnie z balkonu i pozwoliła wziąć garść dużych ziaren białego słonecznika. Nie wiedziałem, co się stało, podejrzewałem, że coś ważnego, co dotyczy świata dorosłych – miałem wtedy chyba cztery lata. Nie wiedziałem, co to śmierć – nawet teraz nie wiem, czy wiem. Potem, kiedy już Rosjanie nas wyzwolili (pamiętam, jak hałasował jeden z nich ustawivszy CKM w naszej bramie – strasznie niosło i słyszać było ten terkot w schronie – ale on był na tyle miły, że wszedł do schronu, zdjął czapkę, powiedział *zdrastwujtie riebiata* i przeprosił, że będzie robił dużo hałasu, zanim ucieknie ostatni *germaniec*) widywałem jeszcze trupy. Jeden na przykład stał w zaułku między Augustańską i Paulińską, opodał skarpy klasztoru przy kościele św. Katarzyny. Był bez nóg i cały popielaty. Inny wisiał w piwnicy przy Meiselsa, można go było zobaczyć przez piwniczne okienko. I były jeszcze trupy trzech koni leżące u wylotu św. Tomasza na Dunajewskiego, kiedy szliśmy do dziadka. Pamiętam rozdęty koński brzuch i wypływające na jezdnię wnętrzności.

Schron u dziadzia na Dunajewskiego 5 był luksusowy, przestronny i pełen elektrycznego światła. Nasz, na Stanisława ciasny i duszny. Siedziało się przy świecach i czerwonym świetle żeliwnego piecyka, w którym piekło się ziemniaki. Spało się na materacach i siennikach przyniesionych z mieszkania – a u dziadka pamiętam, że sypiałem na operacyjnym, ceratą pokrytym metalowym łóżku, bo udało się do schronu ściągnąć z góry, z ubezpieczalni, część medycznego wyposażenia.

Kiedy wojna się skończyła i przeprowadziliśmy się na Krakowską, naprzeciwko naszego domu leżał kiedyś na trotuarze przez cały dzień zabity w nocy mężczyzna. Przykryto go arkuszami papieru pakunkowego i zabrano stamtąd dopiero następnej nocy. Podśluchałem jak mama komuś opowiadała to wydarzenie. Zbudziły ją krzyki i strzały na ulicy. Zobaczyła przez okno mężczyznę, który osuwał się na chodnik pod ścianą kamienicy. Pewnie uciekając usiłował bezskutecznie wtulić się w załom muru, w którym biegły rynny. Ten, który strzelał, oddalił się spokojnie zapinając futerał rewolweru. Kilka kul trafiło w rynnę i długi czas potem, kiedy mocno padało, przez dziurki sikały na chodnik cienkie strużki deszczówki.

Strachy. Nie wiem, jak udało się moim rodzicom zdobyć bilety, i to do łoży, na pierwsze po wojnie przedstawienie „Wesela” w Teatrze Słowackiego²¹. Wszystko, co pamiętam, to okrutny strach, który mnie, mimo bliskości mamy, co po chwila napadał. Gęby myć, szmaty prać, Jakuba Szeli – tego przecież nie dało się słuchać spokojnie, bo nie chodziło tu o to, że przed spaniem trzeba się umyć, co, choć nie było przyjemne, dało się jakoś przeżyć – a i z praniem byłem oswojony. Ale niedwuznacznie mowa tam była o tym, że te gęby i szmaty trzeba umyć i wyprać, bo się zabrudziły krwią!

Jeszcze gorszy był pan Branicki liczący złote dukaty w czerwonej poświacie zalewającej scenę. A najgorszy był upiorny moment, kiedy w fioletowym świetle pojawił się Chochół i zaczął grać na skrzypcach jakąś zawodzącą melodię. Podziwiałem małą Isię, że to wytrzymała i nie wybuchła krzykiem – ja z trudem go powstrzymałem. Poza wszystkim, co działo się na scenie, bałem się teatru, który był ciemny, wielki jak kościół, i w którym, jak w kościele, nie wolno było głośno rozmawiać – a co dopiero krzyczeć.

Chyba jeszcze straszniejsze było przedstawienie, na które mnie mama wzięła do kościoła Franciszkanów. Połączenie teatru z kościołem – już nic gorszego nie mogło się zdarzyć. To było w kościelnych krzysgankach i jedyne, co zapamiętałem, to rozdierający płacz i krzyk

²¹ Przypuszczalnie nie chodziło o gościnny występ Teatru Wojska Polskiego z „Weselem” (6 lutego 1945 r.), którym to spektaklem Teatr im. J. Słowackiego zainaugurował swoją powojenną działalność; raczej o „Wesele” w reżyserii Tadeusza Białkowskiego z 1946, powstałe już jako własna produkcja T. Słowackiego.

świętej Magdaleny, kiedy opowiadała o śmierci Chrystusa. Domyślam się teraz, że to były misteria pasyjne w okresie Świąt Wielkanocnych. Takie miłe święta, z Emausem i Śmigusem – i tak je można było zepsuć! Magdalena miała na głowie szopę płomiennie rudych włosów i pomalowaną na białą twarz. Stoi mi do teraz przed oczami w swojej krwistoczerwonej sukni. Żeby to stała; macha rękami i wrzeszczy!

Cichutko natomiast umierał na scenie teatru na rogu Karmelickiej i Krupniczej Owczarz z „Placówki”. Światło było niebieskie, ze sceny wionęło chłodem, bo Owczarz umierał na zamarznienie, i trząśłem się jeszcze, kiedy trzymając się kurczowo za ręce wracaliśmy ze Sławą do domu przez ciemne Planty. Czerwone, fioletowe i niebieskie światła powinny być zakazane w teatrze, kiedy na widowni są dzieci.

Zmysł słuchu. Kiedy do cioci Leny przychodził, jeszcze przed pojawieniem się pana Wacka, taki jeden Czech – ciocia (Apolonia) też coś czeskiego zda mi się we krwi miała – to czasami tańczyli przy patefonowej muzyce swinga, slofoxa albo foxtrota. To były pierwsze tańce, których się, dzieckiem niemal w kolebce będąc, nauczyłem; byłem muzykalny, co patrząc na moje kłapciate uszy i słuchając dziadka grającego na skrzypcach można było stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Potem się już innych tańców nie nauczyłem, za to te zapomniałem – i od tego czasu tańczenie mam z głowy.

Kiedy się kręciły te patefonowe płyty i słyhać było muzykę, to czasem jeszcze ktoś tam śpiewał. Na muzykę zgoda, można ją zrobić z organków, grzebieńca, fujarki albo patefonu – ale żeby było słyhać ludzki głos, na to trzeba człowieka. Ciocia wytłumaczyła mi, że ponieważ Żydzi muszą się ukrywać, to jeden z nich ukrył się w pudle patefonowym i czasem, kiedy mu zagrać – to zaśpiewa. Zgodziłem się na to tłumaczenie, krasnale były jeszcze wtedy na świecie, nawet takie, co śpiewają „Ptasznika z Tyrolu”. Ale kiedy po godzinie policyjnej trzeba było siedzieć przy spuszczonych storach w półmroku i półciszy i ciocia albo mama wpychały w pudło patefonu jasek, żeby nie grał za głośno, protestowałem, że się ten rozśpiewany Żydek udusi.

„Nikt nas nie pra-agnie, wracać nie mamy gdzie-e...” brzmiała mi w uszach i brzmi po dziś dzień melodia „La Palomy” zgrzytająca na zdartej płycie patefonowej. Teraz już wiem, że przy dźwiękach tej melodii szedł na dno Titanic. Wtedy nie wiedziałem nic o Titanicu, ale mi mama opowiadała po latach, że nieodmiennie, słysząc już pierwsze

takty tej łzawej melodii, łzami się zalewał i bańki nosem puszczał jakbym już był pod wodą.

Zawsze lubiłem zasypiać słysząc przytłumioną muzykę, kołysała mnie nie gorzej niż mama, niosła mnie ze sobą, malowała krajobrazy. Im była cichsza, tym lepiej, spotykałem się wtedy z nią jak równy z równym, nie opowiadała mi, ale podpowiadała, mogłem sobie wybierać, co mi się chciało, wędrowałem tam, gdzie nie tylko uszy, ale i zamknięte oczy poniosą. Do teraz wolę, żeby mnie muzyka dochodziła, a nie siedziała obok mnie albo przede mną i kazała się słuchać. Lubię, żeby mnie dopełniała, a nie przepelniała. I wcale nie musi to być zawsze piękna muzyka – wystarczy, że nie jest za bardzo brzydka.

Podoba mi się, kiedy muzycy przed koncertem stroją instrumenty, lubię ten bałagan dźwiękowy przypominający czyszczenie broni przed bitwą. Pamiętam, że kiedy w licealnych czasach odwiedzałem kolegów z klasy w ich bursie w klasztorze przy kościele św. Katarzyny, było pięknie, bo zza ścian dobiegały odgłosy ćwiczących na różnych instrumentach uczniów szkoły muzycznej – jakieś palcówki, gamy, strzępy melodii. A najpiękniej było w jeden z wiosennych dni, kiedy siedziałem w młodej trawie ogrodu przylegającego do klasztoru i usiłowałem namalować kwitnące jabłonie. Drzewa były pokryte białymi i różowymi kwiatami, nad nimi płynęły białe chmurki fastrygowane piskiem jaskółek, nad trawą śmigały pszczoły i bzykały muchy, między żółtymi kwiatami mleczu buczały trzmiele, a z otwartych okien bursy dolatywały odgłosy strojenia instrumentów, jakieś pasaże i skrawki melodii. Wszystko miało się dopiero zacząć: lato, malarstwo, koncert.

W ogóle lubię dobiegające dźwięki, szczególnie kiedy zasypiam. Nie jestem wybredny, mogą to być nawet hałasy, na przykład zgrzyt tramwaju na odległym zakręcie, szum samochodów na dalekiej szosie, małżeńską awanturę kilka pięter niżej, pijane śpiewy w sąsiednim bloku, radiowa audycja zza ściany, wrzeszczący paw za lasem. Lubię odchodzić w sen zostawiając świat pełen życia, bo mam po co wracać. To nie musi być śpiew skowronka wzlatującego nad łąnem, wystarczy mi warkot samolotu, wystarczy, że sąsiad wbija gwoździe albo sąsiadka tłucze kotlety – byle myśli trochę podleciały, byle coś się zakołysało, byle się mieszało realne z wyobrażonym, byle domysłne nie stało się oczywiste.

Kiedy moja pamięć słuchowa wraca do pierwszego mieszkania przy ulicy św. Stanisława, znajduje tam odgłos skrobania garnków dobiegający z wychodzących na podwórko, otwartych okien kuchennych. Po-

dwórko było cieniste, nie docierało tu słońce, za to kiedy się wychyliłeś przez okno, mogłeś zobaczyć w górze prostokąt błękitnego nieba. Kto wie, czy moim pierwszym kolorem nie był ten błękit, pierwszym zapachem swąd przypalonych ziemniaków, pierwszym odczuciem rześkość powietrza. Chyba moje zmysły obudziły się któregoś letniego dnia, kiedy rano, po przebudzeniu, stanąłem w otwartym oknie. Zmysły to przecież nasze okna na świat.

Podwórko było dla mnie jednym z najważniejszych miejsc na ziemi. Nie tylko moje podwórko na Stanisława i to drugie, na Krakowskiej, ale także podwórko u Waldka na Podbrzeziu, u Adka na Katarzyny, u Tolka na Piekarskiej. I wszystkie inne, które były boiskami, bitewnymi polami, salami rozpraw sądowych, miejscami zaprzysiężeń i powierzenia tajemnic, polowań na szczury i na dziewczyny, lepienia bałwanów, wymian znaczków na guziki, guzików na szklane rurki do strzelania grochem, rurek na gumowe wentyle do rowerowych opon. Z wentyli robiło się proce, a dobrą procę można było wymienić na serię trójkątnych znaczków z Borneo, Jawy, Sumatry, Celebes i Nowej Gwinei. Albo Nowej Kaledonii. Albo na bryłkę kalafonii; wszystko potrafiło wtedy być Nowe.

I były podwórka scenami operowymi, na których ktoś śpiewał, że gdy lat dwadzieścia miał jego dziad, pięknym zdawał mu się świat. Salami koncertowymi, w których grali skrzypkowie, akordeoniści, mandolińscy i fleciści. Stawały się cyrkiem pod gołym niebem, z prawdziwymi blaznami, żonglerami, czarodziejami, akrobatami, połykaczami ognia i z dziewczynką z gumy, która na rozpostartym na betonie dywaniku robiła mostek, a potem jej ręce wędrowały pomiędzy rozstawionymi nogami i mogłeś zobaczyć jej uśmiechniętą twarz w sąsiedztwie stóp w różowych pantofelkach. Przychodzili też beznodzy albo bezręcy żołnierze i śpiewali o czerwonych makach, co z polskiej rosły krwi, i o tym, że rozszumiały się wierzby płaczące, gdy żołnierz drogą maszerował.

Z okien i ganków spadały na podwórko monety zawinięte w papierki. Artyści zbierali je po zakończeniu występów i odchodzili. Po chwili można ich było jeszcze usłyszeć z sąsiedniego podwórka, z następnego już ciszej – a potem słyszało się ciszę. W tę ciszę powracały dźwięki dochodzące z mieszkań – odgłosy mycia naczyń, prania na blaszanych tarkach, terkot maszyny do szycia, czasem jakieś krzyki i rozmowy pro-

wadzone z okna do okna przez panie sąsiadki. Podwórka stanowiły wspólnotę dźwiękową, każde mieszkanie dzieliło się z innymi tym, co miało akurat do wyrzucenia przez okno.

Pojawiali się na podwórkach druciarze latający dziurawe garnki, szklarze z drewnianymi, pełnymi taflí szklanych nosidlami na plecach, ostrzyciele noży i nożyczek, zbieracze gałganów, sprzedawcy szczap na rozpałkę, ziemniaków na zimę i maści na odciski. Każdy miał swoje zawołanie, obwieszczał swoje przyjście inaczej, na każdego czekały chore sprzęty domowe, wystygłe piece, obolałe stopy. Nam, chłopcom, najbardziej podobali się panowie ostrzący, bo jak ostrzyli, to leciały iskry.

Teraz już nie buduje się podwórek, domy odsunęły się od siebie, wyrosła między nimi trawa i alejki, pojawiły się matki z wózkami, nie ma gdzie kopać piłki, a żeby wybić szybę w jakimś oknie trzeba się mocno natrudzić – i chyba już nikomu nawet się tego nie chce. Podwórka były wielkim, wspólnym dla kilku domów pokojem dzieciennym, przedłużeniem wielu mieszkań, rozległym balkonem na parterze. Na swoim podwórku czuliśmy się bezpiecznie, nikt nieproszony tam nie przychodził, w nasze zabawy wtrącały się tylko mamy wołając na obiad albo do odrabiania lekcji, zawsze w najmniej odpowiednim momencie.

Pierwsze rozczarowania. Dzieciństwo to czas oczarowań i rozczarowań. Kiedyś z którymś z kolegów znaleźliśmy nad Wisłą cieniutką, przezroczystą skórkę z pasztetówki. Jak się ją nadmuchało, robił się z niej całkiem porządný, duży balon. Opowiedziałem o tym w domu prosząc mamę, żeby kupiła pasztetówki, ale takiej z końcówką. Mama dopytywała się uporczywie, czy ja też dmuchałem, jakoś nie było jej spieszo kupować tę pasztetówkę, ale w końcu któregoś dnia przyniosła do domu. Chyba nie najlepszą kupiła, bo po pierwsze tamta znad Wisły nie miała na końcu węzelka i drewnianej zatyczki, a po drugie, choć nadymałem policzki z całych sił, powietrze nie chciało przejść ze mnie w za grubą, co było widać na pierwszy rzut oka, skórkę.

Po wielu latach, kiedy zdarzało mi się znajdować w krzakach nad Wisłą i innymi rzekami takie gumowe skórki, wiedziałem już, że rzeczywiście służą do dmuchania, a nawet robienia w balona – ale że raz użyte nie nadają się już do zabawy.

Podobne pasztetówkowemu rozczarowanie spotkało mnie kilka lat później, kiedy w „Historii niebieskiego mundurka” wyczytałem, że żując pracowicie kawałek gumowego kalosza można uzyskać wspaniałą

gumę do żucia, prototyp tej dzisiejszej, o istnieniu której nikt jeszcze wtedy nie wiedział. Wybłągałem możliwość wżarcia się w stary kalosz, ale choć pracowałem zębami do bólu szczęk, nie udało mi się przerobić piszczącego kawałka gumy na coś plastycznego i lepkiego, z czego potem, tocząc nim po bokach krowy, można było zrobić znakomitą, elastyczną, sierściową piłkę. Może i dobrze, bo i tak bałbym się zbliżyć do pasących się nad Wisłą krów.

Poza pasztetowym i kaloszowym, zapamiętałem jeszcze baranie rozczarowanie. Byłem z mamą w kinie „Warszawa” (dawniej „Atlantic” i teraz znowu) na pięknym amerykańskim filmie o Robin Hoodzie i strasznie mi się spodobało, kiedy ten gruby ksiądz zajadał przy ognisku barani udziec. Więc mama kupiła kiedyś kawałek baraniny i upiekła go dla mnie w rondelku. Ale, choć pozwoliła mi go zjeść bez użycia noża i widelca, brakowało mi ogniska i tego gnata, za który można by go było trzymać, a nawet nim wymachiwać. Pozostał sam smak baraniny, dość paskudny, a przecież nie o to chodziło. Opowiadałem co prawda kolegom, że zjadłem udziec barani, ale czułem, że to nie całkiem to – a nawet całkiem nie to.

Nie oskarżałem mamy o skąpstwo, ale przekonałem się, że dorośli nie znają dzieci i choć są dla nich dobrzy, to kupują im nie taką jak trzeba pasztetówkę, nie taką jak trzeba baraninę i chodzą nie w takich jak trzeba kaloszach.

Dzieciństwo miodem i mlekiem płynące. Podobny współczesnym dzieciom, które widząc pierwszy raz krowę na wakacjach dziwią się, że nie jest fioletowa jak ta na opakowaniu mlecznej czekolady, zdziwiłem się kiedyś, że poza pysznym sztucznym miodem istnieje też i prawdziwy. Sztuczność miodu była dla mnie czymś naturalnym, a naturalność sztucznym. Kiedyś pan listonosz przyniósł paczkę od taty, mama rozpakowała ją, żeby sprawdzić czy wszystko co w niej jest zgadza się z tym co napisane na papierku (była okupacja, więc poczta musiała działać bez zarzutu) a ja, zanim wyprawiła pana listonosza podpisując odpowiedni dokument, wypatrzyłem wśród zmiętych papierów rozchełstanej paczki kostkę miodu; poznałem ją po charakterystycznej, podobnej do tego, co się czasem z ucha wydłubywało, złocistej barwie. Ukryłem się z nią w kącie za szafą. Kiedy mnie po chwili mama tam na kradzieży i obżarstwie nakryła, połowy mydła już nie było. Spieniony goryczą i żalem za prawdziwym sztucznym miodem puszczałem ustami

i nosem mydlane bańki. Nie wiem, czy mama bardziej użalała się nad moim losem, czy nad losem mydła, które było wtedy rarytasem.

Opowiadano, że Niemcy robią mydło z Żydów. Może to i była prawda, a bo ja wiem? Był w domu – ale to pamiętam już z Krakowskiej, z naszego powojennego mieszkania – w szufladzie wielkiego biurka taty kawałek mydła, żółty, nieregularny, jakby ugnieciony w dłoni i ja go miałem za to żydowskie mydło. Aż tu kiedyś w Sylwestra mama wzięła go i na tarce do ziemniaków na placki ziemniaczane utarła na podłogę, żeby się lepiej tańczyło i się okazało, że to był воск – a воск przecież się z pszczoł robi albo ze świeczek, nie z Żydów.

Szafa od wczesnego dzieciństwa źle mi się skojarzyła i żaden frejd nie ma tu nic do rzeczy. Miałem swoje żołnierzyki, ale od małego zdominowany przez kobiety (ojciec pracował poza Krakowem albo siedział w obozie), chcąc poznać ich dziwny świat, przystawałem chętnie na wspólne ze Sławcią zabawy jej lalkami. Kiedyś zabrakło mleka, żeby je nakarmić, strasznie wrzeszczały z głodu i Sława postanowiła, że zrobimy mleko z soli, bo też biała. Jakoś dziwnie nie chciała się woda od tej soli zafarbować, była uporczywie przezroczysta jak woda, sypaliśmy więc i sypali tej soli coraz więcej, aż się wreszcie udało uzyskać może nie mleko, ale coś o wiele lepszego, bo gęstą śmietanową masę. Ponieważ lalki miały sklezione kauczukowe usta (dopiero później zrobiliśmy im dziurki w buziach jak się patrzy), ja byłem tym, który *per procura* musiał wypić, cośmy nawarzyli. Nauczony mydłaną aferą skończyłem za szafą, która coraz częściej stawiała się miejscem kaźni. To, co się ze mnie w torsjach wylewało było okrutnie gorzkie, lecz kto wie, czy nie bardziej gorzkie były moje słone łzy.

I krwią z nosa. Zniechęciłem w końcu tę szafę, bo nie chciała się dla mnie otworzyć i głucha na moje szlochy w niczym mi nie pomagała. Każdy szuka w momentach nieszczęścia jakiegoś kącika, w którym mógłby się zaszyć; moim kącikiem był kąt za szafą. Tam się chroniłem karcony przez mamę i tam usiłowałem dojrzeć do przemiany, w wyniku której nieposłuszne dziecko stanie się mądrym i grzecznym chłopczykiem. Zasmakany z żalu i upokorzenia żłobiłem paznokciami swoje żale w deskach szafy czekając aż będzie mnie stać na to, by pokonując poczucie poniżenia wyjść i przeprosić mamę obiecując obłudnie, że to (nie pamiętam co) nigdy już się nie powtórzy. To (nie pamiętam co)

powtarzało się wbrew obietnicom, w które ani mama, ani ja nie wierzyliśmy i wielokrotnie wędrowałem za szafę, do tego mojego czyścica.

Aż się kiedyś szafa przede mną otworzyła. Bawiliśmy się w ciuciubabkę, biegałem po pokoju z szalikiem na oczach i rozgarniając przestrzeń rozpostartymi szeroko rękami, usiłowałem złowić w niej dotykem, skoro mi wzrok zabrano, rozchichotaną (słuchu mi nie zabrano) siostrzyczkę. Krawędź drzwi otwartej szafy wsunęła się bez trudu między moje rozpędzone ręce, za którymi pędził na zatracenie mój nos. Dwudrzwiowa szafa była przyzwyczajona do symetrii, wycelowała dokładnie w środek twarzy. Dobrze, że nie pamiętam tego, co czułem. Teraz, kiedy odzyskałem już przytomność, wiem, że nie umawialiśmy się wcale z szafą, że się z nami będzie bawiła w ciuciubabkę.

Drugie nosa łamanie. Niedługo czas później mój nos złamał się znowu, tym razem w trakcie moich ze Sławcią fikolków na łóżku. Szczęściem dla mnie to drugie złamanie naprawiło skutki pierwszego. Nos trzeba łamać zawsze parzystą ilość razy, najpierw w lewo, potem w prawo – albo odwrotnie. Forma po tym zderzeniu z metalową poręczą łóżka wróciła do formy, natomiast treść, czyli przegroda w nosie, nie – pozostała niesymetryczna. Ale, jak powiedział Tuwim, symetria jest estetyką idiotów. Nie pamiętam zresztą, co było pierwsze – szafa czy łóżko. Może nos to pamięta, ale nie chce mi tego zdradzić, ma to w nosie.

Najpierw obowiązek, a potem... Ojciec miał tylko cztery klasy szkoły podstawowej. Pracował w sanatorium w Bystrej i tam poznał mamę. Przyjechała na leczenie gdzieś około 1924 roku, nie wiem – ale przecież nie piszę kroniki rodzinnej i w dodatku nikogo, nie wykluczając mnie, to nie interesuje. Tam się poznali, pewnie pokochali, długo czekali, wreszcie się pobrali. W 36-tym urodziła się moja siostra, w 39-tym ja, w trzy miesiące później wojna. Z tym mną było trochę kłopotów, doktor Szancenbach, ojciec Jasia²², zakazał mamie mnie mieć, bo groziło to Bóg wie czym. Ale mama się uparła – a na upór kobiet nie ma sposobu – i ryzykując swoim i moim życiem doprowadziła rzecz, czyli mnie, do końca. Urodziłem się w krakowskim Szpitalu Narutowicza

²² Jan Szancenbach (1928–1999), malarz, pedagog, m.in. rektor ASP w Krakowie, przyjaciel Grzywacza. Patrz: rozdział „Jasiu” w niniejszej książce.